

Prenumerata w miejscu.

rocznie rs. 3 kop. —
półrocznie rs. 1 kop. 50
kwartalnie rs. — kop. 75

Za odosłanie do domu kwartalnie kop. 10.

Cena pojedynczego numeru kop. 7 i pół.

z przesyłką:

rocznie rs. 4 kop. 40
półrocznie rs. 2 kop. 20
kwartalnie rs. 1 kop. 10

TYGODNIK

Ogłoszenia.

za 1 razowe po kop. 7 za wiersz petitu lub za jego miejsce.
za 2—6 razowe po kop. 4 za wiersz.
za 7—10 razowe po kop. 3 za wiersz.
Cena ogłoszeń na pierwszej stronie podwójna.
Reklamy po 10 kop. za wiersz petitu.
Cena ogłoszeń zagranicznych po 10 kop. od wiersza.

Biuro Redakcyi i ekspedycja główna, w domu W-go Michelsona obok Magistratu. — Ogłoszenia przyjmują: Redakcja, obiedwie księgarnie w Petrokowie, oraz po zagranicami guberni petrokowskiej wyłącznie agentura „Rajchman i Frencler” w Warszawie.

Prenumeratę przyjmują w Petrokowie Biuro Redakcyi i obie księgarnie. W Częstochowie „Nowa księgarnia”—prócz tego.
w Częstochowie W. Zieliński w Łasku W. Grass.
w Będzinie „Janiszewski Stan. w Łodzi „Janiszewski Leopold.
w Brzezinach „Krzemieniecki Jul. w Radomsku „Ruszkowski Erazm.
w Dąbrowie „Dziwiątkowicz J. w Rawie „Szwedziński.

Wychodzi w każdą Niedzielę wraz z oddzielnym stałym Dodatkiem Powieściowym.

Księgarnia F. JĘDRZEJEWICZA w Petrokowie

przypominając Szan. Publiczności o terminie zamawiania pism codziennych i gazet na rok przyszły, ma zaszczyt zwrócić uwagę, iż zamawiający gazety przez tę księgarnię nie ponoszą kosztów przesyłki pieniędzy do Redakcyi, przez co egzemplarz roczny wynosi do 80 kop. taniej, jak takież, prenumerowany wprost w Redakcyi. (5—5)

Karety i powozy 4 osobowe

Do wynajęcia na kursa — podczas balów w karnawale w salach P. Skibińskiego—stać będą przed wyjściem do sali balowej od 9 wieczór do końca balu. Pojazd zamówiony przed domem czeka tylko minut 10.—Kurs Rs. 1. W. Sapiński. (4—3)

— Biuro redakcyi przeniesione zostało na 1-sze piętro do oficyny, w tym samym co dotychczas domu Michelsona, obok Magistratu. Dla interesantów otwarte codziennie od godziny 2 do 4 po południu.—Ogłoszenia przyjmowane są w tym samym czasie.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

— Bal Sylwestrowy nie przyniósł oczekiwanych rezultatów; jakkolwiek bowiem bawiono się ohocho do samego rana — ilość uczestniczących była tak szczupła, że dochód nie pokrył pono kosztów urządzenia. Ze względu na cel, (dochód czysty miał być przeznaczony na biednych miasta) należało poprzeć dobre chęci pp. gospodarzy. Główny powód nieudania się rzeczony zabawy, leży, naszym zdaniem, w kompletnym rozbięciu obecnem tutejszego towarzystwa, paraliżowanego ciągle zewnętrznymi okolicznościami... Takie zabawy—jakie i życie.

— Wofamy wciąż i wołać nie przestaniemy, aby właściciele domów tutejszych zmuszeni byli do obowiązkowego oświetlenia bram i sieni. Wspominając o tem niedawno—nie pamiętamy już po raz który—przepowiadaliśmy możebność smutnych z tego powodu następstw. Jakoż przepowiednia nasza sprawdziła się aż nazbyt prędko. przed kilku bowiem dniami, pani J. błądząc po ciemnej bramie domu Reichmana przy ulicy Orłowskiej (Toruńskiej) trafiła mimowiednie na drzwi prowadzące do piwnicy i spadłszy ze schodów, złamała rękę. Fakt niewątpliwy; zakomunikowany nam przez jednego z tutejszych lekarzy, równie jak i my oburzonego na barbarzyński zwyczaj zostawiania na noc bram bez należytego oświetlenia...

— Teatr amatorski: „W Petrokowie—pisze „Kur. Warsz.“—miejscowe towarzystwo rosyjskie urządza teatr amatorski, który ma się odbyć w dniu 16-tym stycznia r. p. W teatrze przyjmą udział członkowie miejscowych wyższych sfer urzędniczych. Widowisko składać się ma z dwóch sztuk rosyjskich i jednej polskiej. W tej ostatniej przyjmie udział, znana artystka pani Maryja Deryng—Walewska.“

— Rabunek poczty pod Działoszyńcem. Dnia 22-go grudnia r. b. o godzinie 10-ej w nocy, bidką w jednego konia, z pocztylionem Maciejem Widerą, wyprawioną została z Działoszyńca do Brzeźnicy poczta wózkowo-pieniężna, która szła od Wielunia do Radomska. Też samej nocy po godzinie 12, czterej starozakonni z Działoszyńca, chcąc podążyć do kolei do Radomska, wybrali się najętą furmanką w podróż tymże samym traktem,—lecz za ledwie ujechali parę wiorst od Działoszyńca, konie idące stępą wyrobioną koleją w piaszczystej drodze, zaczęły się, stanęły, i pomimo nalegań woźnicy nie chciały iść dalej. — Chcąc przekonać się o przyczynie, podróżni, wysiadłszy, natknęli się na człowieka leżącego nieruchomie przed kołmi, a rozpaliwszy zapalkę przekonali się po uniformie i trąbce, że to pocztylion niezwywy;—dojechawszy przeto do najbliższej wsi Niwiska, zawiadomili o tem miejscowego sołtysa, a ten, zabezpieczywszy trupa, dał znać o tem do Działoszyńca.—Taką drogą najpierw wiadomość o zaszłym wypadku otrzymał urząd pocztowy w Działoszyńcu o godzinie 4-tej rano,—bo chociaż koń z bidką sam powrócił do Działoszyńca zapewne przed północą (gdyż go nie spotkali już jadący wyżej wzmiankowani żydzi), to wszelako choć wszedł w obce podwórce, dopiero rano spostrzeżony został.

Po obejrzeniu miejscowości spełnionej zbrodni znaleziono: na trakcie szerokim piaszczystym, przez las idącym, na trzeciej wiorście od Działoszyńca pod krzakiem w pośród drogi rosnącym leżała łupka drzewa sążniowego a przy niej czapka pocztyljońska;—dalej o 20 kroków na tejże drodze, leżał trup pocztyljona Macieja Widery z raną z tyłu głowy w szczyt kręgowy zadaną od pchnięcia nożem pochodzącą;—o 40 kroków od tego miejsca leżały dwie torby pocztowe, jedna większa zewnętrzna na krzyż rozerżnięta, i druga mała pieniądze (z poprzedniej wyjęta) również rozerżnięta—a obiedwie zupełnie opróżnione; i wreszcie, o jakie 400 kroków dalej w lesie znaleziono pakiety i listy z tej poczty pochodzące porozrywane i porzucone, — a pieniądze wszystkie w kwocie Rs. 277 kop. 49 zabrane.—W bidce zaś, którą, jak wyżej powiedziano, koń sam z powrotem do Działoszyńca przywłócił, była jeszcze oddzielnie włożona jedna posyłka wartościowa, którą też nietkniętą znaleziono.

Biorąc na uwagę czas wyprawienia poczty z Działoszyńca, niewielką odległość miejsca — i wreszcie powyższe szczegóły w tymże miejscu znalezione, przypuszczać wypada, że zbrodnia dokonana być musiała

około godziny wpół do jedenastej w nocy; że zbrodniarz musiał dobrze być obeznanym z biegiem poczty pieniężnej od Wielunia ku Radomskowi, a zacząwszy się w krzaku w pośród drogi piaszczystej z przygotowaną łupką drzewa, pewny był zamierzonego łupu; że za zbliżeniem się bidki pocztowej, musiał najprzód ugodzić pocztyljona Widere łupką w głowę jak dowodzi spadnięta w tem miejscu czapka, poczem rzuciwszy łupkę, chwycił się z tyłu jadącej bidki i oszołomionego już poprzedniem uderzeniem Widere pchnął nożem z tyłu głowy w szczyt kręgowy, skutkiem czego śmierć natychmiastowo nastąpić musiała; i nakoniec, że powodem tej wstrętnej zbrodni była jedynie chęć rabunku pieniędzy, bo tych widocznie poszukiwał zbrojca targając każdy z osobna pakiet i list rozbitej poczty.

— O morderstwie obywatela ziemskiego Michała Janiszewskiego „Gazeta Kielecka“ otrzymuje następujące bliższe szczegóły. Janiszewski powracał z miasteczka na bryczce i spotkawszy się w drodze z również wracającym do domu obywatelem ziemskim panem O. prowadził z nim dość długą, ożywioną rozmowę. Gdy dojechano do wsi Janiszewskiego, dwaj sąsiedzi pożegnali się; pan O. pojechał dalej, a fernal denata zawołał, aby otworzono kołowrót wioskowy. W tym czasie z po za stojących przy drodze wierzb padł strzał, który śmiertelny zadał cios życiu denata, a po chwili nastąpił drugi, którym postrzelony został służący. Pomimo poszukiwań — jak już donosiliśmy w „Tygodniu“—zabójcy nie wykryto. Opinią doszukuje się tu zemsty osobistej. W ostatnich czasach kilkakrotnie były zatargi między panem J. a włóścianami o wypasanie dworskich ozimin; jeden nawet z włóścian miał być za to sądzony i odsiedzieć areszt, po wyjściu z którego, wziętym był do wojska i dopiero niedawno do wsi powrócił.

— Pomiedzy Łodzią a Zgierzem— jak wiadomo — znaleziono przed paru tygodniami zwłoki zamordowanej Chai Sieczkowskiej. Otóż sprawca tego morderstwa, został schwytany w Warszawie. Jest nim narzeczony denatki, Icek Litauer, pozbawiony wszelkich praw i przywilejów i kilkakrotnie już karany kryminalnie. Zbrodniarz spełnił morderstwo celem uzyskania 40,000 rs., na którą to sumę zabezpieczył poprzednio życie narzeczony, przyczem polisa wydana była na okaziciela. Dla zamaskowania swych niegodnych zamiarów wysłał morderca swą ofiarę, po wniesieniu za ledwie jednej premii, do Łodzi, dla zakupna wyprawy, sam zaś udał, że zostaje w Warszawie, — nie mógł jednak dowieść swego alibi.

— W Łodzi dwaj spekulanci zapragnęli prędko dobić się fortunki i w tym celu, zmówiwszy się, wystawili znaczną ilość weksli na poważne firmy na łączną sumę 10,000 rs., takowe zaopatrzyli w fałszywe podpisy i żyra i z pomocą faktora spieniężyli. W samym Piotrkowie jeden spekulant nabył ich

za 7,500 rs. Kiedy termin wypłaty się zbliżał, jeden ze współników okpił jeszcze swego przyjaciela na wygranej w loteryję i... obaj się ulotnili.

W pewnym domu w Łodzi w chwili kiedy całe grono familijne zebrane było w pokoju, nastąpił silny huk, jakby z moździerza i piec kaflowy rozpadł się w kawałki. Na szczęście nikt nie doznał uszkodzenia. Powodem eksplozji było zbyt silne zapalenie w piecu i ztąd wywiązujące się gazy.

— W Łodzi znaleziono na przedmieściu zwłoki przyzwoicie ubranego mężczyzny. Śledztwo wykazało, iż znaleziono je przed kilkoma dniami na drzewie w lasku miejskim, a dowiedziawszy się o nazwisku zabitego i miejscu zamieszkania, odwieziono do miasta. Ponieważ jednak rządcą domu nie chciał zwłok przyjąć, woźnica ruszył z powrotem na miejsce samobójstwa i tam złożył napowrót ciało.

— O zamiarze kupna Ojcowa przez pana Gordona, obywatela z radomskiego pisałiśmy już przed kilku tygodniami. Obecnie „Gazeta Kiel.” doniosła, iż przed rejentem Krzyszkowskim w Kielcach została spisana pod tym względem umowa, z zaciągnięciem do ksiąg wieczystych. Pan Gordon zapłacił za Ojców rs. 290,000; pałac jednak i dolina ojcowska pozostaje nadal własnością hr. Zawiszy.

— Rada Opiekuńcza Zakładów Dobroczynnych powiatu Sieradzkiego, celem zasilenia funduszów na utrzymanie zakładów dobroczynnych, urządziła trzy bale tańcujące w dniach 6 stycznia, 26 stycznia i 16 lutego roku bieżącego. O czem zawiadamiając, rada opiekuńcza ma zaszczyt najuprzejmiej na takowe zapraszać.

— „Kuryer Codzienny” dał swym prenumeratorom „na gwiazdkę” r. z. świetny numer gratisowy, odbity na welinie. Dobór artykułów w takowym nader staranny; jest tam wreszcie między niemi taką perłą czystej wody, z jaką dziś niemiernie rzadko spotkać się można w naszym dziennikarstwie, — perłą tą jest fragment *Elizy Orzeszkowej* p. t. „Nieśmiertelny.”

Przeczytajcie go łaskawi czytelnicy — namawiamy Was do tego gorąco!...

— Rada Nadzorcza Straży Ogniowej Ochotniczej w Nowo-Radomsku, ma honor niniejszem zawiadomić, że w zamian rozsyłania powinszowań Noworocznych złożyli na rzecz Straży Ogniowej Ochotniczej PP. Sergiejew Naczelnik P-tu Rs. 2,—

Krotkow Naczelnik Straży Ziemskiej—Ks. Dziekan Gajewski, Fabiani Feliks, Otocki Wł., Siennicki Wł., Jurkowski Lud., Cywiński, Swidziński Lud. po rs. 1,—D-r Kulski, Kaz. Soczołowski, po 3 rs.—J. Dobrzelewski, Dr. Zalejski, A. Cybulski, Zarzecki i A. D. po rs. 1.

— Zamiast noworocznych wizyt i rozsyłania biletów, złożyli na rzecz Straży Og. Och. miejscowej D-r E. Wolski. rs. 2,—J. Bełcikowski rs. 1 kop. 50,—Józef Goleński rs. 1.

K. Kompalski

Kasyjer Rady N. St. O. O.

— W miejsce noworocznych powinszowań, w księgarni mojej złożyli raczyli:

W W-ni Jarnuszkiewicz rs. 3 do rozdania biednym, oraz rs. 2 na Straż Ogn., — Zajądler adwokat rs. 1 na biednych,—Brzozowski Włodzimierz Naczelnik okręgu leśnego rs. 3 na drzewo dla biednych,—Lewy adwokat rs. 3 na niezamożnych uczniów,—Skurzalski Dyjonizy rs. 1 na Straż Ogniową,—Świecimski Edwar rs. 1 na drzewo dla biednych,—Ks. Sałaciński rs. 1 na drzewo dla biednych,—Przyłuski w miejsce rozsyłania biletów rs. 1 na Straż Ogn. i Mianowski D-r rs. 2 na ubogich.

F. Jędrzejewicz.

Z pod Zelowa.

Krytyczne położenie.—Brak nabywców na ziarno. Konieczność zachowania honoru naszego od skaży.—Dyskredytowanie takowego przez czynny haniebnie.

Ogólny zastój w interesach i zupełny brak kredytu mocno dał się we znaki naszej okolicy. Ci, co mają zboże na sprzedaż, sprzedać go dobrze nie mogą; ci zaś, którzy go nie mają, są w stokroć gorszym położeniu. Przy braku zupełnym banków rolniczych jedyną w potrzebie ucieczką są nasi prowincjonalni pseudo-bankierzy żydowscy, którzy i grosza na lichwiarski choć procent pożyczą i za zboże nie zasiane nawet czasami zapłacą. Traci się na tem, to prawda; ale tonący chwytając się brzytwy, choć może i lżejby mu było odrazu dać nurka na dno, niż męczyć się powolnym konaniem.

Dotąd pożyczki takie i zaliczki udzielane były na prosty kwitek, a nieraz i na szlacheckie słowo pożyczającego; dziś, w okolicy naszej, jedno i drugie nie popłaca już niestety. Lecz jakże ma być inaczej, gdy szlacheckie to słowo w niektórych jest sponiewierane i rzucane na wiatr po prostu?...

Niedawno w okolicy naszej zdarzył się wypadek, który, nietylko mojem zdaniem ale zdaniem każdego uczciwego i prawego obywatela, powinien być postawiony pod przęgiem opinii publicznej.

Pan A. gwałtownie potrzebując pieniędzy, kręcił się na wsze strony ze sprzedażą sągów; nigdzie jednak nie mógł znaleźć nabywcy; — że zaś potrzeba nagiła, sprzedał je za bezcen, bo za 200 sągów wziął rs. 300!... Sprzedaż była tania—i żyd, odbierając je, byłby zyskał ogromnie, pan A. zaś stracił niezawodnie—to prawda. Ale bądź co bądź, uroda *dobrowolna* stanęła i pan A. moralnie i prawnie obowiązany był, wzięwszy pieniądze, siągi wydać. Poczucie moralności jednak jeżeli leżało w duszy pana A. to było tam znać mocno uspięne; prawo zaś, choćby najuczciwsze, obejść można i na złe przy złej woli użyć. Tak też uczynił pan A. Żyda wyrzucił kazał za drzwi, odsyłając go do sądu i dodając, że nie ma go już na czem poszukiwać, ponieważ majątek sprzedał synowi i sprzedaż takowa figuruje w księgach hipotecznych.

Nie, panie A!—tak się nie robi; nie używa się fortelów; nie brudzi uczciwego imienia obywatelskiego podobnemi czynami i nie podaje go się w pogardę żydom; nie taką drogą podnosi się i wzmacnia zaufanie i kredyt; nie takim winno się świecić przykładem wieśniakom, którzy na nas patrzą i z nas do dobrego a nie do złego pohop brać winni!... Nie, panie A! nie tędy dzisiaj droga, jeśli się mamy podnosić i... zarabiać na lepszą przyszłość.

J. K.

Z R a w y.

Niewygody prowincjonalnego życia.—Złe produkty.—Koszta transportu.—Nafcia.—Warszawa czy prowincja.—Brak fabryk.—Upadek osady fabrycznej „Tatar.”—Teatr amatorski z przeszkodami.—Dochód z teatru.—Drożyzna w urządzeniu.—Fiasco w jałmużnie.—Drobne zaległości.

Miasta oddalone od kolei żelaznej, żyją jak sieroty opuszczone od ludzi i muszą cieszyć się pomocą swych opiekunów. Takimi opiekunami są dla nich miasta większe, które im pośredniczą w nabywaniu towarów i innych przedmiotów do życia potrzebnych... po większej części w gatunku pośrednim, lub najgorszym; konsumenci zaś, nie mając lepszych, chcą nie chcą, muszą takowe z konieczności nabywać. Jeżeli do tego jeszcze dodamy, że miejscowi kupcy, po większej części żydzi, te najgorsze to-

ZE WSPOMNIENIŃ DZIECINNYCH

III

SZARE PTASZYNY.

Letni dzień czerwcowy miał się ku schyłkowi. Słońce już zaszło, kąpiąc się chwil kilka w falach Niemnowych. Horyzont przybierał szarawą barwę, gotując się na przyjęcie nocy. Stałem nad brzegiem rzeki, wpatrując się w roztaczające się przedemną widoki: to przemknęła po niej rączka tratwa, na której palił się ogień na posiłek strudzonemu orylom; to ciężko obciążona „wicina” przeprowadzona została „pod wodę” przez gronmadkę, ciągnących ją z wysiłkiem najemników nędzarzy, których jęki długo brzmiały mi w uszach, nawodząc na myśl skargi Niekrasowa; to elegancki parostatek z gronem wojażerów—turystów poszybował jak strzała; to po drugiej stronie Niemna przeleciał parowóz kolejowy, ciągnąc za sobą długi sznur dymu. Ciągnęła rozmaitość, ciągnęła wrażenia...

Ale nad wszelkie wrażenia bardziej mnie zajął widok szarych ptaszyn, snujących się gromadnie po nad falami Niemna i powracających wieczorem do gniazdek. Były to

jaskółki rzeczne, gnieźdzące się po nad brzegami tej rzeki, w otworach piaskowych. Tysiące zwinnych szarych ptaszyn, z nad fal Niemnowych, gdzie szukały pożywienia dla dzieci, unosiło się w powietrze, zataczało koła i chowało się do nor piaskowych, położonych tuż przy sobie—jedna koło drugiej, na całej długości wystających brzegów.

Zkąd u tych ptaszyn takie przywiązanie do rzecznych fal, okupujące się wyborem tak niewygodnego siedliska?.. Jakim sposobem te ptaszyny odróżniają swoje gniazdko, jedno od drugiego, gdy wszystkie one mają jednakową powierzchność i położenie?...

Gdym tak rozmyślał, ścigając okiem skrzydlate istotki, naraz uderzony zostałem niemiłym widokiem.

O kilkadziesiąt kroków odemnie, swawolne chłopię wiejskie, próbowało zburzyć jedno takie gniazdko kijem, wsadzając go kilkakrotnie na całą długość i wyjmując napowrót. Drgnąłem na myśl, że mogą tam być bezbronne pisklęta, które niegodziwiec ten zdusi. Krzyknąłem na niego i pośpieszyłem do gniazdko. — Chłopiec najspokojniej został na miejscu.

— Widać, co niema nikogo w gnieździe, bo stare-by wyleciały, jak tylko raz pałkę

wsadziłem, a małe piszczałyby — tłumaczył mi się rezolutny młodec.

Było w tem trochę prawdopodobieństwa. Na wszelki jednak wypadek, chcąc się przekonać, włożyłem w otwór rękę i drgnąłem mimowolnie. Uczulem pod ręką ciepłe jeszcze ciało istotki, przed chwilą szybującej nad rzeką. Wyjąłem ją z gniazdko—była sztywna i nieporuszona, w dziobku miała pełno piasku, a skrzydełka nastroszone, jakby okrywające przed napaścią swą rodzinę.—Biedna! Wsunąłem rękę napowrót—i natrafiłem na pisklęta leżące na samym skraju gniazdko, niestety! także zasypane piaskiem. Chłopiec sprawca tego, na widok swych ofiar, uciekł przed moim gniewem, choć ścigać go nie myślałem. Starąłem się powrócić życie szarym ptaszętom—niestety, napróżno. Pomimo wydobywania piasku z dziobków, pomimo wiania w nie wody, pomimo chuchania mego—nie wracały one do życia. Przyszła mi więc myśl włożenia ich do wody, którą tak za życia lubiły; jakoż położyłem je w miejscu, gdzie prąd był spokojny i chwil kilka przypatrywałem się im, wśród zapadających cieni. Nagle z żalostnem świergotaniem przeleciał tuż koło mnie szary ptaszek, zapewne ojciec umarłej rodziny i—czy to złudzenie mego wzroku, czy też fakt istotny — uderzył piersią w falę Niemno-

wary lub produktu, sprzedają za najlepsze, żądając za nie wygórowanej ceny, to przekonamy się dopiero, jak to wygodnie żyć na prowincyi, odmawiając sobie często rzeczy najpotrzebniejszych, z powodu ich braku, a w najlepszym razie—zadawając się najgorszymi ich gatunkami.—Aby dać przykład tego wyzysku, przytoczę tu, że miejscowi kupcy sprzedają naftę kaukaską, źle oczyszczoną, za amerykańską, biorąc cenę tak wysoką, jaka się płaci za tę ostatnią. Wiadomo, że nafta kaukaska nawet w lepszym gatunku nie jest subtelnie oczyszczoną, przez co sprawia swąd i kopeć,—cóż dopiero powiedzied o nafcie mało lub wcale nieoczyszczonej? Jaskrawość światła psuje oczy, nieprzyjemny zapach i kopeć, sprowadza ból głowy i kaszel, a nasi synowie Izraela nie zatroszczą się o to, czy godziwie jest okpiwać publiczność i czy produkt taki jest szkodliwym dla zdrowia.—Im chodzi tylko o to, aby urządzić *fein geszeft*, उसुका gojów i zarobić najwięcej pieniędzy.

Tak się dzieje po większej części ze wszystkimi innymi towarami, dlatego to ci, co mogą i mają za co wyjeżdżać do Warszawy, zakupują tam wszelkie sprawunki i nietylko że zakupują taniej, ale zyskują jeszcze na jakości; nietylko bowiem koszt transportu przez tutejszych kupców są za wysoko obliczone ale i towar dostarczany jest w lepszym gatunku. Czyż jednak biedniejsi mogą pozwolić sobie na takie wygody?...

Taki to los prowincjonalistów, którym jednak nieraz zazdrości Warszawa, utrzymując, że życie na prowincyi jest daleko tańsze i wygodniejsze:—wszakże gdy kto pierwszy mieszkał w Warszawie, i był przyzwyczajony do lepszych wygód, a bogi zaniosły go na prowincyję, to jeżeli tylko będzie mógł opuścić tę krainę „mlekiem i miodem płynącą“, uczyni to i niezawodnie drapnie do naszej stolicy z powrotem.

Gdzie wreszcie przebiega kolej żelazna, tam budzi się ruch większy lub mniejszy, a często nawet zakwita przemysł, handel, powstają rozmaite fabryki i dobrobyt mieszkańców wzrasta, jak tego mamy dowód na powiatach łódzkim, częstochowskim i będzińskim;—nasz jednak powiat, odcięty od kolei żelaznej, drzemie—żadne fabryki się nie wznoszą—wszelkie przedsiębiorstwo upada i ginie.—Smutny tego przykład mamy na osadzie Tatar, o dwie wiorsty położonej od Rawy, gdzie przeszło od 25 lat istniała fabryka kortów zimowych i letnich, kołder wełnianych, a także kortów na bundy w rodzaju sławuckich. Była ona własnością p. Gertz & Comp. i miała ustaloną reputację; wyro-

by jej, jak nam wiadomo, sprzedawano do Warszawy i Cesarstwa za wyroby zagraniczne, bo rzeczywiście w dobroci nie ustępowały takowym. Wszakże w ostatnich latach, stagnacja w handlu, niewypłacalność dłużników, a szczególnie zamiana motoru poruszającego fabrykę t. j. wody na parę, a stąd wielkie wydatki, spowodowały upadek takowej, tak dalece, że nie mogąc otrzymać odpowiedniej pożyczki do podtrzymania swej działalności, przestała już obecnie być czynną, maszyny wyprzedala, i jak słychać zrobiła podanie do władz wojskowych, aby zabudowania fabryczne mogły być przez nie wydzierżawione, lub zakupione na kosza wojskowe.—Żałujemy serdecznie upadku tak renomowanej fabryki i jej firmy, która się dobrze krajowi zasłużyła; żałujemy tem więcej, że powolny jej upadek datuje się już od 1-go kwietnia r. p., skutkiem czego, stu kilkudziesięciu robotników w niej pracujących, po większej części krajowców, z żonami i dziećmi straciło zarobek i musiało częściowo opuszczać ją, szukając pracy i chleba w podobnych fabrykach w Tomaszowie Rawskim, w powiecie brzezińskim. Gdyby fabryka Tatar leżała przy kolei żelaznej, niezawodnie nie byłaby zamknięta i ocalałaby bądź to przez przystąpienie do spółki większej ilości osób, bądź też przez odprzedaż jej komuś więcej zasobnemu. Odległość takowej od Skierniewic o mil 4, również naraziła firmę na nader wysokie koszty sprowadzania węgla, węgla, oraz wywozu wyprodukowanych fabrykatów, co konkurencyję z innymi fabrykami, przy kolei żelaznej położonymi, czyniło nie możliwą.

W dniu 2 b. m. odbył się u nas teatr amatorski na korzyść biednych i ochrony dla dzieci.—Uproszeli amatorowie odegrali trzy sztuczki: *O chlebie i wodzie*, *Na Ulicy* i *Werbel domowy*.—Zadowolenie publiczności było zupełne, i widzowie nie szczędzili amatorom hecnych oklasków za ich trudy i poświęcenie, jakie złożyli w darze cierpiącej braci.—Szczególniej Pani G. dała niezaprzeczony dowód swego poświęcenia i zaparcia się, występując aż w dwóch z powyższych komedji, i odgrywając komiczne swe role w chwili, kiedy smutek i żaloba rozdzierały jej serce, z powodu zgonu matki swego męża.—Po odbyciu bowiem pogrzebie w d. 28 Listopada r. b., w którym to właśnie dniu miało się odbyć przedstawienie, skutkiem czego nawet odłożonym być musiało, Pani G. w cztery dni później, nie cofnęła się od spełnienia swego szlachetnego zadania, wywiązując się zeń z ogólnem zadowoleniem,—gdyby stało się przeciwnie,

zapowiedziany teatr amatorski nie przyszedłby do skutku.

Czyż przyjdzie w pomoc biednym i nie-szczęśliwym, nie przynosi wewnętrzne zadowolenia tym, co się do tego czynnie przykładają?—O! niezawodnie przynosi. Jakaż więc radość być musi pomyśleć, że nie jeden z tych biedaków przy nadchodzącej wili Bożego Narodzenia nie miałby może na kawałek chleba dla pożywienia siebie i zgłodniałych dzieci, gdyby nie szlachetny popęd i dobre chęci szanownych amatorów, które mu chociaż na te kilka dni świątecznych zapewniły lepszą strawę, i pozostawiły wdzięczność dla tych, którzy mu te dobrodziejstwo wyświadczyli.—Pani G. pojęła to i stanęła wyżej nad przesady i koteryje prowincjonalne!

Czy wszakże to wsparcie dla biednych będzie dostateczne?—Wątpimy; według bowiem sporządzonego już obrachunku okazało się, że dochód ogólny z rozprzedanych biletów i ofiar przy zwrocie biletów do powtórnego ich rozprzedania, stanowił: rs. 206 kop. 55, wydatki zaś wynosiły rs. 93 kop. 23½—to jest blisko połowę; pozostało więc do dyspozycji rs. 113 kop. 31½, — że zaś niektórzy ze spektatorów pozostali dłużni za wzięte bilety rs. 36 (no, bo u nas i takie trafiają się ewentualności)—zatem rzeczywiście znajduje się w gotowiznie rs. 77 k. 31½.—Co prawda—to niewiele będzie miało do rozporządzenia pan Z. członek Rady Opiekuńczej, jeżeli reszty zaległości nie wyekzekwuje.—Cóż robić, skoro więcej niema i skoro koszt urzędzenia tak dużo wyniosły!—Widać, że wzrastająca ciągle drożyzna i tu zaciężyła swą żelazną ręką, aby przez nadzwyczajne wydatki, powstrzymać hojność pana Z., który z konieczności, zmuszonym będzie sciskać w swej dłoni uezierane groszaki, aby mózdz chociaż potrochu obdzielić *wszystkich* biednych!

W końcu ja, niżej podpisany, proszony jestem od pana S. przyjmującego prenumeratę na czasopismo „Tydzień“, aby przypomnieć szanownym jego prenumeratom, którzy dotąd opłaty za drugie półrocze r. z. jeszcze nie uiszcili, że na zaspokojenie takowej z niecierpliwością oczekuje, dla ukończenia rachunków z Redakcją, która nie jest tak bogata jak redakcja paryzkiego „Figara.“ Tymczasem grosz jakoś nazbyt powolnie do jej kasy spada z horyzontu.... powiatu rawskiego, chociaż przy wydatkach noworocznych na papier, opłatę poczty i drukarni—nader jest pożądany.

*

wą, w miejscu, gdzie leżały ciała jaskółek, a popychając je swym ciężarem, zniknął wraz z nimi, uniesiony prądem wody...

Wypadek ten, snąc zwykłą koleją kojarzenia się wyobrażeń, odnowił mi wspomnienie lat dziecinnych, w których bohaterami były szare, siermiężne postacie ludzkie, jak tu—szare ptaszyny.

Było to przed kilkunasty laty.—Przygotowywałem się do zdania egzaminu wstępnego do gimnazyjum przy pomocy korepetytora Janka, czwarto-klasisty, 16 letniego chłopca. Janek był synem chłopskim i nie wypierał się tego. Owszem, z największą uciechą witał każdą niedzielę i święto, w które to dni odwiedzały go matka i siostra, ubrane z chłopska, ale porządnie i czysto. Kochali się oni wzajemnie, szczerze i gorąco. Janek roił tylko o skończeniu nauk, o zostaniu nauczycielem i wzięciu matki z siostrą do siebie, żeby staruszka odpoczęła sobie raz przecie. Ojciec odumarł dzieci prawie niemowlętami i odtąd matka własną pracą żywiła ich i siebie; z własnych zasobów, oddała go do gimnazyjum i płaciła zań przez 2 lata. W trzeciej klasie Janek znalazł już korepetycję i sam na siebie zarabiał; skarżył się tylko, że nie mógł swą pracę utrzymać całego domu.

Kochaliśmy się z Jankiem, jak dwaj bracia. Ujmowało to wprawdzie jego powadze nauczycielskiej, ale wpływało na wzajemne doskonalenie się nasze: ja przez niego nauczyłem się szanować ludzi siermiężnych, on nabierał oglady i poloru światowego. Po za programem szkolnym uczyliśmy się obadwaj ojczyznej historii, którą Janek z namietnością szczególną studyjował, marząc tylko o bohaterach bojowych, dawnej ich waleczności i wielkości serca. Lekcyj z Jankiem wyglądałem z utęsknieniem; nie była ona dla mnie ciężarem, ale rozkoszą.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie te fatalne czasy, które mi wydarły Janka.

Raz, na początku wiosny, przyszedł Janek w szarej sukmance, czarno szamerowanej, z węzełkiem w rękę, oznajmiając ze łkaniem, że nas opuszcza, że musi iść gdzie go woła głos jakiś, i że może już nie zobaczy nas nigdy. Próżne były nasze perswazyje; moi rodzice pożegnali go błogosławieństwem, ja—nieutulonym płaczem. Poszedł—i nie wrócił... Długo nie mogłem utulić żalu po stracie mego nauczyciela, i nie zapominałem go nigdy. Co się z nim stało, dowiedziałem się dopiero później.

Po wielu przeprowadkach, uszedłszy pogoni, skrył się w domu swej matki, pewny, że tam będzie bezpiecznym. Wkrótce jednak

dom otoczono, a matka staruszka, strwożona o los całej rodziny, schowała syna i córkę w skrytce przy stodole, zapełnionej od góry do dołu sianem, sama umieściwszy się na na strychu, pod samym dachem. Przeszukano dom i nie znaleziono nic. Kluczów od stodoły również nie znaleziono, a drzwi były okute silnie. Szukający wszelako, pragnąc utoroować sobie drogę przez dach, kłójąc takowy w różnych miejscach ostrzem włóczni, ugodzili śmiertelnie i nie szczęśliwą matkę. Ta nie wydała żadnego jęku; nie chcąc jednak zdradzić obecności swojej, zezogłała się tylko na czworakach na dół i ostrzegła dzieci, żeby się miały na baczności i były cicho, a niebezpieczeństwo minie. Jakoż po chwili głosy ucichły. Nie mogąc się dostać prędko do środka stodoły, a nie chcąc czasu tracić na rozbijaniu bramy, poszukujący Janka podpalili stodołę z 4-ch końców i odeszli w celu dalszych poszukiwań. W jednej chwili cała stodoła stanęła w ogniu, dym wybuchnął kłębami...

Kiedy sasiędzi przybiegli na ratunek nie dopuścili się ognia do skrytej komórki, odbili takową, znaleźli dwoje dzieci udużonych dymem a matkę z przebitą na wylot piersią...

Karol Hoffman.

SZKOŁY PIOTRKOWSKIE.

(Dalszy ciąg—patrz № 52 z r. z.).

Zaburzenia wewnętrzne i niszczące wojny zewnętrzne, jakie od zgonu Mieczysława II-go, przez dwa przeszło wieki Polską miotaly, nie sprzyjały bynajmniej rozwojowi oświaty. Dopiero Kazimierz W. postanawia w stolicy swojej, w Krakowie, założyć szkołę wyższą, „z której-by się światło nauk na całą polską rozchodziło,“ i w tym celu funduje w r. 1364 akademię we wsi Bawole, pod Krakowem. Ze zgonem Kazimierza akademija upada, wznowia ją Władysław Jagiełło 1400 r., urządzając na wzór akademii Pragskiej i Paryżkiej. Akademiya Krakowska w w. XV oświatę dzielnie krzewić poczyną; uczniowie jej pełnią obowiązki mistrzów i bakałarzów po wszystkich niemal szkołach katedralnych, miejskich i parafijalnych, tak dawnych, jak i nowych, które odąd, pod nazwą *kolonij akademickich*, pod zwierzchnictwem akademij zostają. W owej to epoce i szkoła Piotrkowska na jaw wychodzi, pod nazwą „*Gymnasium sub directione almae academiæ Cracoviensis*.“ I nic dziwnego—zaprowadzenie trybunałów koronnych dla prowincyj wielkopolskich w Piotrkowie za panowania Stefana Batorego (1578—1792), nadało miastu temu wzrost i znaczenie, a liczne sejmy, poczynając od r. 1347 poprzednio tutaj składane, dowodzą, że już w wiekach XV i XVI Piotrków do większych i lepszych miast w Polsce należeć musiał. To też kierownik szkoły Piotrkowskiej nosił tytuł *Rektora szkolnego* czyli *mistrza* (minister, seu Rector scholæ) który to tytuł zwykle zwierzchnikom szkół przy kościołach katedralnych, czyli tuskich przysługiwał, w miasteczkach zaś nauczyciele nazywali się *bakałarzami*, a w innych miejscach — *młodzieńcami godnymi a uczonymi*. Zapewne i w wewnętrznym ustroju ówczesnej szkoły Piotrkowskiej nastąpił zwrot pomysłny, skoro „rektorowie szkolni, w groźbie rządząc, mieli obyczajne, a nie swawolne żaki.”

Czas i ciężkie klęski pożarów, wojen i rabunku nie pozostawiły śladów dokumentów szkolnych, prawdopodobnie przechowywanych w archiwum kościelnem; to też wiadomości o szkole Piotrkowskiej, czerpane z innych źródeł, zaledwie kilka i to tylko krótkich wzmianek o jej losach zawierają. Dowód jednak późniejszego istnienia szkoły w Piotrkowie mamy i z burzliwych czasów Jana Kazimierza. Nie upadła szkoła Piotrkowska i po zaprowadzeniu szkół Pijarskich 1675 r., gdyż Władze Świeckie i duchowne w erekcyjach szkół zakonnych zwykle zastrzegały utrzymanie szkół dawniejszych i wyłączną ich zależność od akademii.

Szybki wzrost kolegiów i szkół jezuitów, poddanie kierunkowi ostatnich założonej przez Batorego (1579) akademii Wileńskiej, jak również, stopniowo zwalczane zamiary założenia akademii jezuitów w Poznaniu, Krakowie i Lwowie, wywołały długie, a zawzięte spory między jezuitami i akademiją Krakowską, nie o lepszy wykład w szkołach, lecz o prawo zakładania szkół tam, gdzie istniały kolonije akademickie. Spory te, trwając prawie przez cały wiek XVII, tak niekorzystnie wpłynęły na akademiją Krakowską i zależne od niej kolonije, że pierwsza zupełnie straciła swoją powagę i dawniejszy wpływ na sprawy edukacyjne, a ostatnie, wyludniając się z ucni tłumnie przechodzących do szkół jezuitów, albo popsuły się, albo zupełnie zwinęły zostały. W tej epoce i szkoła Piotrkowska *de jure* zostając pod zwierzchnictwem akademii, faktycznie przeszła pod bezpośrednią władzę proboszczów, a właściwie wikaryjuszów Piotrkowskich, którzy z dochodów „Stołu swojego” utrzymywali szkoły i bez dolo-

nia się zwierzchności akademickiej mianowali nauczycieli. O ówczesnym stanie szkoły Piotrkowskiej znajdują się świadectwa w tak zwanych wizytach dyjecezyjalnych. Tak np. wizyta z r. 1687 „użala się na brak w szkole chociażby jednego ucznia, któryby dla dogodności parafii znał kant Gregorjański, albo figuralny i, przywołując do skutku ustawę Łubieńskiego *de musicæ docendo* z 1647 r., zaleca księdzu komendarzowi (pierwszemu wikaryjuszowi), aby „nauczyciela względem uczenia śpiewu upomniął, a jeżeli-by go nie usłuchał, pozwala mu odjąć część dochodów, lub też go oddalić.”

Tenże wizytator wkłada obowiązek na księdza komendarza zwiedzenia raz na tydzień szkoły parafijalnej, nakazując mu pilnie wglądać w nauki, sprawowanie i pobożność chłopców, oraz dolożyć starania aby „niezdadni jeszcze do nauk wyższych nie rozpraszali się (?) przedwcześnie i nie odrywali się od posług kościelnych. Czy był skutek tych poleceń i jaki?—nie wiadomo. Wizyta z 1699 r. nie zgola o naukach i utrzymywaniu szkoły nie wspomina, a poleca tylko proboszczowi restaurację domu szkolnego, stojącego przy bramie warszawskiej, czyli wolborskiej.—Ostatnia wzmianka o szkole parafijalnej Piotrkowskiej znajduje się w świadectwie, podpisanem przez 11 wikaryjuszów miejscowych 10-go kwietnia 1706 r. Objasnia ono, iż po otwarciu szkół jezuitów w Piotrkowie (co miało miejsce 1706 r.) wszystkie dzieci ze szkoły parafijalnej, zostające jeszcze *de jure* pod kierunkiem akademii Krakowskiej, do jezuitów przeszły, tak iż zbywało na usłudze kościelnej. „Dzieci te bowiem—są słowa wymienionego świadectwa—usługiwały w mszy, chodziły ze świecami zapalonemi przed księżmi idącymi do chorych z Przenajświętszym Sakramentem, a roslejsi krzyż i chorągwie na procesyjach nosili.” Ustała więc szkoła parafijalna 1706 r., przetrwawszy co najmniej lat 400. Nie wkrzesił jej żaden proboszcz Piotrkowski, gdyż bez jego nakładu dzieci mogły brać początkowe nauki w parwie pijarskiej, lub jezuitkiej. Dopiero w r. 1816 powstaje znowu szkoła początkowa kosztem mieszkańców miasta utrzymywana, która pod nazwą *elementarnej* przetrwała do obecnego czasu.

(d. c. n.).

MIKOŁAJA KAREJEW

Przegląd dziejów powszechnych-nowszych

z upoważnienia autora
spolszczył

Edmund Dylewski.

§ I. Katolicyzm i feudalizm w wiekach średnich.

(Dalszy ciąg—patrz № 52 z r. z.).

Wytworzywszy dwa odrębne społeczeństwa, które mimo to, jak widzieliśmy, łączyły się ze sobą, katolicyzm i feudalizm występują na widownię przy wszystkich znaczniejszych faktach historii średniowiecznej. Objaw ten dostrzegliśmy już w wojnach krzyżowych; wólcześnie jednak z temi zapasami Wschodu z Zachodem, na Zachodzie wre inna walka, niemniej długotrwała i niemniej zacięta. Jestto walka władzy papieżkiej z władzą cesarską. Od IX wieku papieżstwo coraz więcej rozrastać się poczyną, w wiekach XI, XII i XIII już dobiega ono kulminacyjnego punktu potęgi i siły; wtedy też zaczyna ujawniać najsmielsze roszczenia. Papież tej epoki, poczynając od Grzegorza VII (1073—1086) i kończąc na Bonifacym VIII (1294—1303), dążą do osiągnięcia zwierzchnictwa nad wszystkimi panującymi i do przetworzenia całego politycznego świata w jedno państwo duchowne. Rozporządzając znacznymi bogactwami, mając w swem ręku zwierzchnictwo nad

nawykiem do subordynacji duchowieństwem i nad całemi armijami mnichów, panując nad sumieniami społeczeństwa i umiejętnie wyszukując sprzymierzeńców w przeciwnikach swych wrogów, papież do pewnego stopnia osiąga swe polityczne cele.

Tym jednak nadmiernym roszczeniom musiała stawić opór władza świecka, zkad zapaliła się owa osławiona walka papieżstwa z cesarstwem, która tak ważną odegrała rolę w historii Niemiec i Włoch, walka, w której przyjmowały udział i inne kraje, póki Filip Piękny, król francuzki, nie zadał ciosu średniowiecznemu papieżstwu, przenosząc stolicę jego z Rzymu do Awignonu (1308). Staletni ten spór kościoła z państwem, który na szerokiej arenie dziejów europejskich rozstrzygali papież i były cesarz fikcyjnego cesarstwa rzymskiego — król niemiecki, również miał miejsce i w oddzielnych krajach; przypomnijmy sobie choćby walkę w Anglii Henryka II z prymasem królestwa arcybiskupem Kantuaryjskim Tomaszem Becketem, wynikłą skutkiem dążeń pierwszego i doznanego oporu ze strony drugiego, poddania duchowieństwa pod jurysdykcję sądów świeckich (1170). *) Katolicyzm średniowieczny stworzył polityczną doktrynę ścieśniającą samodzielność państwa; to ostatnie przeto mogło rozwijać się i nabierać sił w walce z kościołem.

Lecz państwo miało jeszcze drugiego wroga, a tym był feudalizm. Jeśli papież rościł sobie prawo do rozdawnictwa koron królewskich i cesarskiej, to z drugiej strony panowie feudalni nie uznawali władzy panujących, dodając do swych tytułów „z bożej łaski“ i odmawiając im posłuszeństwa. I tu więc winna była toczyć się walka i w rzeczy samej wypełnia ona polityczne dzieje zachodnio—europejskich krajów.

Od wyniku tej walki zależał nawet kierunek dziejów każdego z osobna kraju, co widocznem się staje ku końcowi XIII wieku, kiedy król francuzki, którego panowie feudalni sądzili być tylko *pierwszym między równymi*, stał się monarchą nie tylko z imienia, kiedy w Anglii elementy feudalne zjednoczyły się z ludem miejskim dla zorganizowania parlamentu (1264), ograniczającego władzę królewską, kiedy w Niemczech, po upadku w walce z papieżstwem dynastji Hohenstaufów (1254), rozpoczął się proces ostatecznego rozkładu kraju na niezawisłe państewka.

Zwróćmy obecnie uwagę na tę masę ludu, która podlegała władzy społeczeństwa duchownego i feudalnego. Na długo pozostaje ona pozbawioną praw: największa część tej masy, właścijanie, zostawali w poddaństwie u panów feudalnych, którzy łączyli w swem ręku władzę posiadaczów ziemskich z władzą panujących; lud miejski znajdował się w położeniu stosunkowo zniesiejszem, i nad nim jednak ciążyła zawsze prawica jakiegoś biskupa lub barona, który go dzierżył w swem posiadaniu. Samo przez się wynika, iż przy zdarzonej sposobności musiały mieć miejsce powstania, a miały one szczególnie w miastach wielkie powodzenie: miasta zrywały z siebie pęta poddaństwa i formowały wolne gminy —rzeczpospolite miejskie. Walka prowadząca do takiego rezultatu, walka masy ludowej z feudalnym światem, również wielką gra rolę w życiu politycznym Europy: w ludnie miejskim, równoległe do dawnych sił społecznych, powstała nowa siła, a od charakteru i sposobu działania tejże zależał w pewnej mierze kierunek dziejów każdego z osobna kraju. We Francji gminy miejskie pomogły królom pokonać panów feudalnych; w Anglii zaś połączyły się z arystokracją

*) W Polsce współczesnej walka władzy świeckiej z duchowną, znalazła swój wyraz w głośnej walce Bolesława Śmiałego z biskupem Szczepanowskim. Mniej krwi i popędliwości, a więcej taktu politycznego ze strony dzielnego króla, a walka z korzyścią dla niego i kraju rozstrzygnąć by się dała.

w celu ograniczenia władzy królewskiej. Zławszy się, jako część składowa, z ogólnym systemem feudalnym, miasta stały się oazami, na których nowe powstawało życie. Rzeczpospolita miejska była państwem, pod wielu względami różniącym się i od feudalnego senioratu, jako niewielkiego terytorjum, którego posiadacz był zarazem właścicielem i panującym, i od feudalnego państwa, w którym król był jedynie pierwszym między równymi; w miastach powstawał rząd, pozbawiony wszelkich cech prywatno-prawnych; tu zniknął podział ludności na wolnych i poddanych. Tu też poczyną się rozwijać nowy typ społeczny. Mieszczanin zamieszkuje nie celę klasztorną, nie zamek rycerski; gorący podnosi on protest i przeciw ascetyzmowi klasztoru i przeciw brutalnej sile rycerza; czuje przedsmak oświaty, lecz już nie da się w nauce prowadzić za rękę duchowieństwu.

Wiedzieć bowiem należy, że w wiekach średnich katolicyzm panował i nad oświatą. Wszystkie sfery twórczości ludzkiej służyły religii: średniowieczna architektura wytworzyła odrębny styl gotycki, dający się zastosować jedynie do budowy kościołów; rzeźba i malarstwo przyodzabiała gotyckie świątynie posągami i obrazami świętych lub też różnemi symbolicznymi znakami. Najbogatszą literaturą była literatura teologiczna, a nawet teatr europejski wzięł początek od dramatu religijnego—misteryi. Sztuka świecka prawie że nie istniała. To samo da się powiedzieć i o nauce. Krańcowi przedstawiciele średniowiecznego ascetyzmu zaprzeczali nauce nawet racji bytu. Dla nich była ona rzeczą grzeszną; oddalała bowiem człowieka od świętej drogi pokory i zmuszała zajmować się rzeczami światowemi. Nauka jest grzeszną—twierdzili—i z tego względu, iż początek swój wzięła od pogan, a wszak jedyni i temi samymi ustami nie można chwalić Chrystusa i oddawać cześć Jowiszowi. Zresztą, dodawali, czyż nie jest wszystko rozstrzygniętem przez Opatrzność Boską, aby jeszcze potrzeba było czegoś szukać i badać. „Czyż zapalamy latarnię, aby widzieć słońce?”—pyta św. Damijan. „Niech zamleczy samochwałstwo człowieka, skoro przemówiło słowo boskie,” wolał Piotr Wyznawca. Takich jednak krańcowych poglądów kościoła podzielać nie mógł; dla zaspokojenia najgwałtowniejszych swych potrzeb czuł on konieczność pewnej oświaty; Karol Wielki, pragnąc podnieść moralny

poziom duchowieństwa, miał pieczę o szkołach dla osób stanu duchownego; za Ludwika Pobożnego (814 — 840) szkoły te przechodzą w zupełności w ręce kościoła; później nieco zaczęto zakładać uniwersytety, w których główną rolę grają wydziały teologiczne, a profesorami są sami księża. Nauka znajduje poparcie tylko o tyle, o ile jest potrzebną dla celów kościoła; jest ona jedynie służebnicą teologii (philosophia theologiae ancilla). Wobec takiego stanu rzeczy, oświata z konieczności musiała przybrać charakter kościelny. Cały świat zewnętrzny—„to królestwo grzesznej zmysłowości i czczych widm materji”—uważano za niegodny najmniejszej uwagi i badania, a studia nad nim były prawie zupełnie zaniedbane.

Tym więc sposobem, granice nauki były ścieśnione; lecz nawet i w tych ścieśnionych granicach świata kościelnego, jakie jej zakresiono, nie była ona wolną; myśl człowieka nie mogła swobodnie badać i poszukiwać, dawano jej bowiem już gotowe odpowiedzi, znane tezy, którym posłuszną być musiała. Zadaniem teologii było powstrzymać ludzką od zgubnych idei; w niej to miała filozofja szukać jedynie prawdziwej przewodniczki. Celem tej filozofji było rozumowo dowodzić prawd w artykułach wiary zawartych, wynikiem czego—była scholastyka, która w naszych czasach stała się synonimem przytępienia i czczości w sferze ducha i myśli. — Za pomocą takiego to systemu kościół panował nad rozumem ludzkim.

Takim był w głównych zarysach charakter cywilizacji średniowiecznej, szczególnie w XI, XII i XIII wiekach, w epoce rozkwitu zakonów i rycerstwa, scholastycznej filozofji i poezyi trubadurów, pokuty i wojny, gotyckich katedr i feudalnych zamków, w epoce walki papieżstwa z cesarstwem, feudalizmu z władzą królewską, miejskich gmin ze światem feudalnym, w epoce waleznego przedsięwzięcia klasztorno-rycerskiej Europy—wojen krzyżowych.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

— Wigilija polska w Wiedniu. Polskie stowarzyszenia w Wiedniu „Ognisko”, „Zgoda” i „Przytulisko”, urządziły w hotelu „Victoria” na Wiedniu wspólną wigiliję, na którą zaprosiły wszystkich bawiących w Wiedniu ziemaków naszych. Na tym wieczorku urządzoną była tombola na cele dobroczynne.

— Kalendarz polski w Ameryce. Jednym z najpiękniejszych kalendarzy polskich wydanych w Antypodów, jest jak obecnie „Kalendarz koła rękodzielników polskich” w Chicago. Wydrukowany na przepysznym brystolu, ma on na okładce wizerunek Jana III. Ilustracje do kalendarza tego wykonane zostały w Baltimore.

Wolne Żarty

od Ex-Bociana.

Gubernantka—mimka.

Pon dzierzawca z Gawronowa.
Powiadają mądra głowa
Łazi wsędy, rano wstaje,
Mo siarcyste urodzaje;
Ale choć ta i pracuje,
Hedukacją źle sykuje.
Wiedza o tem, że to skodzi,
Kiedy kura kacki wodzi,
Niestlucho jej drobiazg miody.
Chocies gdoce—hyc do wody,
I ptywo se po strumyku,
Niestuchając kury ksyku.
Chce mieć buty pon dzierzawca.
To nie woło do nich krawca,
Cieśle albo kuminiorza,
Ino sewca kopyciorza;
Po co dzieci nieboracki,
Wychowuje gdyby kacki,
Sprowadza im z minieć kwoki,
By paplały tak jak sroki.
Mnie ta tatuś wychowali,
Hedukacją dobrą dali,
I poradze przecie sobie,
Boć i nawet wirse robię—
A więc na co pan dzierzawca,
Kiedy taki wielki znawca,
Nakazuje swemu dziecku,
Chwalić Boga po mimiecku?
Wiecek fornał ze Mzurowa
co sie od swygo Dziedzica
nancył wirsy robić.

Licytacje w obrębie gubernii.

- W dniu 10 (22) stycz., na placu Mikołajewskim, w m. Petrokowie na sprzedaż mebli, ocenionych na 964 rs.
- 21 mar. (2 kwiet.) w sądzie okr. Petrokowskim na sprzedaż majątku Blakowa Wola lit. B. pow. Nowo-Radomskim od sumy 10,000 rs.
- 30 grud. (11 stycz.) w m. Rawie na sprzedaż 2 powozowych koni.
- 9 (21) stycz. w urzędzie leśnym 1) Łaznów, we wsi Więczynie na sprzedaż drzewa w obrębie Róza i Łdzań; 2) Rzepice we wsi Połomańcu, na sprzedaż drzewa w obrębie Popów.
- 12 (24) stycz. w urzędach leśnych: 1) Pajeczno, w obrębach Piekary, Chrzastawa, Makowiska; 2) Olkuskim we wsi Gołonogu w obrębach Okradzionów, Gołonóg, Trzebyezka, Tucznobaba, Porąbka, Dąbrowa, Łosień.

O G Ł O S Z E N I A.

przedają się dwa folwarki. Mogą być również rozkolonizowane na działki. Lasu 4600 morg. Wołyńskiej Gubernii, Kowelskiego Powiatu.—**Odlegie** 50 w. od miasta Kowel gdzie kolej Nadwiślańska łączy się z koleją Brzesko-Kijowską; — 50 w. od Zalipia, stacyi kolei Zabińsko-Pińskiej; — 25 w. od zaprojektowanej Kowelsko-Dąbrowieckiej strategicznej kolei, Stacyi Okońsk; — 25 w. od miasta Lubieszów, portu nad spławną rzeką Stochod (dalej Prypec, Dniepr); — 15 w. od zarządu gminy, w mieście Kamiień Koszerski;—15 w od poczty w Czerwiszczu.

1. Folwark **Krynno**, grunta żyzne, zaokrąglone; ornej 662 morgi;—Łak 454 morg.;—Lasu mieszanego 164 m. nieużytków 32 m.—Ogół 1280 m.—Dwór z ogrodem odesi, —obserne budynki folwarczne pośród pól—ubezpieczone razem 8600. rs.

2. Nowo-utworzony folwark **Skomorocha**, grunta żytne, — ornej 92 m.—Łak 100 m.—Lasu dobrego mieszanego 762 m. z nich większa część może być dobrą pod orkę lub łaki;—nieużytków 7 m. ogół 963 morgi.

3. **Las**,—w nim Sadyby z ogrodami 20 morg.; — Łak 220 m. Sosniny od 40—60 letniej 1600 morg.—mieszanego 1200 m.—czarnolesia 400 m. którego większa część byłaby korzystną pod posiewy lub łaki;—Zarośli sosnowych 800 m.;—Błot z krzakami 400 m. Nieużytków 30 m.—Ogół 4600 morgów.

- Blizszych szczególow ndziela:
- 1) na miejscu w Krynnie zarządzający Nikanor Iwanowicz Hryniewiecki.
 - 2) w **Lublinie**, Adwokat P. Władysław Rogowski.
 - 3) w **Warszawie**, córka właścicielki P. Ludwika Bielska, przy Wspólnej 20.
 - 4) **Umocowana do Sprzedaży** córka właścicielki P. Joanna (Ludwikowna) Zawadzka w **Homlu**.—Mogilewskiej Gubernii. Agentom sprzedaży będzie wypłacony umówiony procent za pośrednictwo. (R. i Fr. 12933) (3—1)

PAPIEROSY. Dubec Fort, Dubec Choisi, Dubec Moyen Dessert, Carmen i Bonbons, w cenie Rs. 1 za 100 szt.

TYTUNIE „ERZERUM”,

w cenie od Rsr. 1 do Rsr. 12 za funt.

CYGARA: Maravilla, Hawana — Superieur, Delicias Desser, Renoma, Konkurencya i Kupidon,

POLECAJĄ

Kalinowski i Przepiórkowski

w Warszawie, (Hotel Europejski).

R. i Fr. 11585)

(6—6)

HOTEL

na pryncypalnej ulicy położony, do wynajęcia w miesiącu Sieradzu od 1-go Maja lub 1 lipca 1884 r. Wiadomość bliższa u Sekretarza powiatu **W-go Serafinowicza**. (3—2)

Jest do wydzierżawienia

Fortepijan

w zupełnie dobrym stanie. Wiadomość w Redakeyi „Tygodnia“.

(0—14)

Poszukiwana jest Osoba,

spokojna do dozoru dzieci na kilka godzin dziennie. Znajomość języka rosyjskiego konieczna. W zamian oddaje się pokój z usługą i fortepianem.

Wiadomość bliższa w księgarni W-go F. Jędrzejewicza. (3—2)

FABRYKA TABACZNA

TOWARZYSTWA



„UNION”

dawniej
LEOPOLDA KRONENBERGA

W WARSZAWIE,

Zwraca uwagę Szanownej Publiczności, iż zaprowadziwszy pod nowym jej zarządem liczne ulepszenia wpływające na dobroć jej wyrobów, wypuściła następujące gatunki:

CYGARI:

El Nevado, po cenie rs. 16 za 100 sztuk.	El Abanico, po cenie rs. 5 za 100 sztuk.
Los Helados, „ „ „ 15 „ „ „	El Indio, „ „ „ 5 „ „ „
Sultan, „ „ „ 12 „ „ „	Lady Eugenia, „ „ „ 5 „ „ „
Romeo i Julia „ „ „ 10 „ „ „	Los Amigos, „ „ „ 4 „ „ „
El Jaron, „ „ „ 8 „ „ „	

PAPIEROSÓW:

Sobieski, po cenie rs. 1 za 100 sztuk.	Kwiat, po cenie rs. 1 kop. — za 100 szt.
Zabawa, „ „ „ 1 „ „ „	Mexico, „ „ „ — „ 60 „ „ „
Afrykanka, „ „ „ 1 „ „ „	Kometa, „ „ „ — „ 60 „ „ „

TYTUNIE

rozmaite, w cenie od rs. 1 do rs. 8 za funt.

(R. i Fr. 12875)

(3—2)

Warszawski Dom Zdrowia,
w Warszawie, Szpitalna 6,

przyjmuje na stałe pomieszczenie chorych, dotkniętych cierpieniami wszelkiego rodzaju, jak również kobiety, spodziewające się słabości. Zupelna tajemnica zapewniona być może. W zakładzie ordynują:

I Brzeziński w chorobach wewnętrznych i specjalnie nerwowych (Nowozielna, № 36), K. Dobrski w chorobach wewn., spec. płuc i gardła (Marszałkowska № 50), J. Gutwein w chorobach chirurg. (Plac Grzybowski, 10), A. Thieme w chorobach właściwych kobietom (Marszałkowska, 38).—Bliższa wiadomość na miejscu i u lekarzy zakładu.

(R. i Fr. 1779)

(12—11)

Zakład Stolarski

pod firmą

„RODZINA”

w Petrokowie,

przeniósł swój Magazyn Mebli do domu W-iej Grabowieckiej naprzeciwko cerkwi poleca gotowe Meble po cenach umiarkowanych, przyjmuje wszelkie zamówienia budowlane i roboty kościelne, tak gładkie jak i rzeźbione; poleca także Meble gięte z fabryki Wojciechów i Trumny metalowe po cenach warszawskich.

(0—12)

WĘDROWIEC

Rok wydawnictwa XXI

Prenumerata roczna

Od 1 Stycznia 1884 roku, tygodnik „Wędrowiec” pod nową redakcją znacznie powiększa format i objętość, nie zmieniając ceny. Ilustracje pierwszorzędne krajowe i zagraniczne.

Każdy numer formatu zwykłych pism ilustrowanych in folio na takimże papierze, objętości półtora arkusza druku (stron. 12).

Obok Podróży i Etnografii, Dział Powieściowy, Literacki i Naukowy. Pomędzy innymi pracami celniejszych autorów zostaną w pierwszym kwartale pomieszczone:

Dotychczas nieznanie i niedrukowane odczyty w Lozannie,

Adama Mickiewicza

Powieść oryginalna T. T. Jeża.

„W OBRONIE GNIAZDA”

z ilustracjami art. mal. Stanisława Witkiewicza.

Dodatek książkowy dołącza się arkuszami do N-rów „Wędrowca” tym prenumeratorom, którzy złożyli prenumeratę osobną na dodatek: rocznie rs. 1, półrocznie k. 50, kwartalnie kop. 25,

Prenumerata „Wędrowca” w Warszawie, z odnoszeniem do domu bez dodatku: rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 k. 50, kwartalnie rs. 1 kop. 25.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie bez Dodatku: rocznie rs. 6, półrocznie rs. 3 kwartalnie rs. 1 kop. 50.

Adres: Redakcja „WĘDROWCA” Warszawa Żurawia N. 11.

(R. i Fr. 12820)

(2—2)

Polecając się PP. Obywatelom ziemskim i kupcom zbożowym do komisowej sprzedaży zboża w Warszawie i w Gdańsku, upraszamy transporty zbożowe wysłane do nas do Warszawy, adresować:

Kuczyński i Makomaski, Warszawa
Magazyny tranzytowe

i objaśniamy, że zboże z magazynów tych stosownie do konjunktury, za opłatą, frachtu podług taryf miejscowej komunikacji, może być sprzedane na miejscową konsumpcję; za opłatą zaś frachtu podług taryf taniej bezpośredniej komunikacji, może być sprzedane na eksport wprost młynarzom i kupcom zagranicznym. W magazynach tranzytowych za opłatą bardzo nieznacznej składowej, zboże przez dni 30 nie utracza przywileju dalszej wysyłki zagranicę podług taryf bezpośredniej komunikacji.—Transporty wysyłane do Gdańska prosimy jak dotąd adresować: „Kuczyński i Makomaski” — Gdańsk.

Worki pod zboże na żądanie nadsyłamy. Na wysłany towar dajemy zaliczki. Na zamówienia dostawiamy do każdej stacji dróg żelaznych, wszelkie gatunki zboża; Panom ziemianom polecamy głównie tani rosyjski owies i przy tegorocznym nieurodzaju kartośli kukurydze, do wyrobu okowity.

Wszelkie objaśnienia co do cen, miejsc wysyłki etc., udzielamy odwrotną pocztą.

Dom Komisowo-zbożowy Kuczyński i Makomaski w Warszawie hotel Saski i w Gdańsku.

(R. i Fr. 10882)

(12—8)

SKŁAD WĘGLI

Włodzimierza Sapińskiego

przy rogu Aleksandryjskiej alei.

Sprzedaje węgle w dobrym gatunku. Korzec grubego wagi 240 fun. po 85 kop.—kostkowego po 83 kop. Na miarę w skrzyniach zamkniętych (przez magistrat warszawski opieczętowanych) po 5, 10 i 20 korey, gruby po 83 kop., kostkowy po 81 kop. korzec z odstawą. Na całe wagony z dostawą przed drwalnie, wagon węgla grubego 11,000 kilometr. (110 korey) stosownie do gatunku od 76 rs., także kostkowego od 73 rs. Drzewny węgiel kurzony rs. 1. Koks rs. 1 korzec. W składzie sprzedaje się każdą ilość. Zwózki węgla obcego dopelnia: z osobowej stacyi—za wagon rs. 4. Z towarowej stacyi—za wagon rs. 5 za furmankę.

Zamówienia wszelkie należy robić w składzie z góry optacając.

(13—13)

Konie, Karety, Powóz, Bryki
na resorach.

do wynajęcia. Zamawiać można w składzie węgla W. Sapińskiego, na rogu alei Aleksandryjskiej, oraz w mieszkaniu i stajniach tegoż, w domu W-go Golembowskiego, ulica Kaliska wprost Poczty. Karety i powozy na wesela chrzty, pogrzeby i spaceru — wynajmują się na dziny. (13—13)

ZARAZĘ GRZYBA DRZEWNEGO

w domach mieszkalnych niszczyć radykalnie

Aleksander Ciszewski,

Budowniczy — Warszawa, Żórawia № 33.

(R. i Fr. 11597)

(6—5)

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 21 powieści z francuzkiego p. t. „Tajemnice pałacu sprawiedliwości”.

— Przebacz mi panie Hrabio — rzekł uśmiechająco się — ale mam powiedzieć słowo.
— Nawet dwa jeśli pan sobie zyczysz — odpowiedział Andréa.
— Stażesz się pan bardzo towarzyskim.
— Czyżesz mi pan sam nie przypomniał, że jestem pańskim gościem.
— Prawda, a ponieważ pan to sobie przypomniał teraz, to powinien być pamiętać o tem i przed chwilą. Panie wice-hrabio, brat pański, którego znam od dawna, a o którym, mógłby mi udzielić wielu wiadomości, mówi pan o mnie.
— Czyż mój brat nie ma prawa rozmawiać ze mną o kim mu się podoba?
— W każdym razie, nie ma prawa kompromitować cię, a czy mi to, opowiadając ci tajemnice, nieswoje. Nie rozumiam pana.
— Przed chwilą rozmawiałes pan o mnie z osobą, od której odehodził?
— To fakt.
— Lambardier wzruszył ramionami.
— Nie zaprzeczaj pan, — rzekł, — patrzyłem na was, i z jednego spojrzenia jakiem ten człowiek i mnie obdarzył, odgadł, że był niezręcznym grupem!
— Panie!
— Niezręcznym, bo zaszkodził mi, bez korzyści dla siebie; grupem, bo się zwierzył człowiekowi wice-hrabia podniósł głowę i zdawał się rozważać słowa Lambardiera.
— Czy wiesz pan, kto jest ów człowiek? — rzekł Lambardier.
— Brazyljczyk.
— Lambardier rozemniał się.
— Tak sam, jak ja, lub pan.
— Jest to po prostu Brazyljczyk z ulicy Jerozolimskiej.

— 160 —

— Przebacz mi panie Hrabio — rzekł uśmiechająco się — ale mam powiedzieć słowo.
— Nawet dwa jeśli pan sobie zyczysz — odpowiedział Andréa.
— Stażesz się pan bardzo towarzyskim.
— Czyżesz mi pan sam nie przypomniał, że jestem pańskim gościem.
— Prawda, a ponieważ pan to sobie przypomniał teraz, to powinien być pamiętać o tem i przed chwilą. Panie wice-hrabio, brat pański, którego znam od dawna, a o którym, mógłby mi udzielić wielu wiadomości, mówi pan o mnie.
— Czyż mój brat nie ma prawa rozmawiać ze mną o kim mu się podoba?
— W każdym razie, nie ma prawa kompromitować cię, a czy mi to, opowiadając ci tajemnice, nieswoje. Nie rozumiam pana.
— Przed chwilą rozmawiałes pan o mnie z osobą, od której odehodził?
— To fakt.
— Lambardier wzruszył ramionami.
— Nie zaprzeczaj pan, — rzekł, — patrzyłem na was, i z jednego spojrzenia jakiem ten człowiek i mnie obdarzył, odgadł, że był niezręcznym grupem!
— Panie!
— Niezręcznym, bo zaszkodził mi, bez korzyści dla siebie; grupem, bo się zwierzył człowiekowi wice-hrabia podniósł głowę i zdawał się rozważać słowa Lambardiera.
— Czy wiesz pan, kto jest ów człowiek? — rzekł Lambardier.
— Brazyljczyk.
— Lambardier rozemniał się.
— Tak sam, jak ja, lub pan.
— Jest to po prostu Brazyljczyk z ulicy Jerozolimskiej.

— 157 —

— Czyżesz mi pan sam nie przypomniał, że jestem pańskim gościem.
— Prawda, a ponieważ pan to sobie przypomniał teraz, to powinien być pamiętać o tem i przed chwilą. Panie wice-hrabio, brat pański, którego znam od dawna, a o którym, mógłby mi udzielić wielu wiadomości, mówi pan o mnie.
— Czyż mój brat nie ma prawa rozmawiać ze mną o kim mu się podoba?
— W każdym razie, nie ma prawa kompromitować cię, a czy mi to, opowiadając ci tajemnice, nieswoje. Nie rozumiam pana.
— Przed chwilą rozmawiałes pan o mnie z osobą, od której odehodził?
— To fakt.
— Lambardier wzruszył ramionami.
— Nie zaprzeczaj pan, — rzekł, — patrzyłem na was, i z jednego spojrzenia jakiem ten człowiek i mnie obdarzył, odgadł, że był niezręcznym grupem!
— Panie!
— Niezręcznym, bo zaszkodził mi, bez korzyści dla siebie; grupem, bo się zwierzył człowiekowi wice-hrabia podniósł głowę i zdawał się rozważać słowa Lambardiera.
— Czy wiesz pan, kto jest ów człowiek? — rzekł Lambardier.
— Brazyljczyk.
— Lambardier rozemniał się.
— Tak sam, jak ja, lub pan.
— Jest to po prostu Brazyljczyk z ulicy Jerozolimskiej.

— Czy chodzą panu o to? — rzekł Andréa, — a więc jak pan chcesz.
Podano karty.
— Na pana kolej, przemówił Andréa.
Brazyljczyk wziął karty z obojętnością, cechującą go od początku wieczora, i zaczął grać.
Przeszła chwila, podczas której oczy wszystkich skupiły się w jeden punkt a piersi dech wstrzymywały. Stawka wynosiła tysiąc ludiorów a suma ta widocznie nie była bogatą, ani dla wice-hrabiego Andréa, ani też dla Brazyljczyka. Za trzecią kartą tysiąc ludiorów stały się własnością wice-hrabiego, który widocznie był dziś przy szczęściu...
Tajem. pał. spr.

21

— On! zawołał wice-hrabia zdziwiony i przerażony.
— Czyżbyś pan powiedział jakie grupstwo? — zapytał Lambardier tonem spokojnym.
— Nie, — odpowiedział wice-hrabia bez zastanowienia się.
— Ale w tej chwili poprawił się, widząc, że sam się zdradza.
— Zresztą — dodał, — ja nie potrzebuję obawiać się nikogo.
— Niezawodnie, niezawodnie — rzekł Lambardier ze znaczącym uśmiechem, — a skoro tak jest, to przed rozstaniem się, pozwałam sobie dać panu jeszcze jedną dobrą radę, bo oto ten dyjabelski człowiek ciągle nam się przygląda, a nie wygodnie jest być pod jego nadzorem: jeżeli kiedykolwiek spotkasz tego Brazyljczyka, miej się na baczności — ma on wiele sposobów z człowiekiem, o którym nieraz słyszeć musiałes.
— Z kim takim?
— Z Merrillou...
— Niepodobna... zawołał wice-hrabia.
— Cicho — rzekł Lambardier, — rozłączmy się, oto zbliża się ku nam.
Wice-hrabia skorzystał z rady Lambardiera i oddalił się. Był wzruszony, niespokojny.
Ostatnie wyrazy, które usłyszał, dały mu domyslenia — obdził tu i tam, nie wiedząc na co się zdecydować... Nagle zadzwonił. Ktoś szepnął jego imię. Odwróciwszy się, ujrzał młodzieńca, którego w pierwszej chwili nie poznał, tak był strwożony. Trwało to jednak tylko kilka sekund.
— Jestem Anatol, subiekt od pana Renoult i...
— Ach, tak — odpowiedział wice-hrabia, teraz poznaję pana — i cóż pan tu robisz?
— Przybywam po pana, panie wice-hrabio; ale oto i list.
— Daj!

— 161 —

— Słuchaj pan — rzekł wreszcie — rzeczy, których nikomu nigdy nie powtórzę.
Panna Paulina wezwała mnie przed chwilą i wręczyła mi list z prośbą bym go odniósł do wice-hrabiego. Dla mnie życzenie tej panny — to rozkaz. Udałem się więc do wice-hrabiego; powiedziano mi że go tu znajde, więc jestem tu. Oto wszystko.

Lambardier słuchał, z oczyma w wlepionemi w posadzkę, pełen rozmaitych dziwnych uczuć.

— Wszystko to wydaje mi się niezwykłym — rzekł nakonie, — a ty niczego się nie domyślasz? więc ty nie masz chyba krwi w żyłach, ani zazdrości w sercu? Jako Paulina jest chora i wzywa jego do swego łóżka!

— Ja tylko uszanowałem jej wolę!

— Więc jej nie kochasz?

— Nie kocham jej?... pan mówisz, że jej nie kocham — rzekł Anatol chwytając się za głowę i bliźki płaczu. Ale cóż pan chcesz bym powiedział? mów. On jest bogaty — a ja biedny; on jest szlachcicem a moje nazwisko nieznane.

— Ale obadwaj jesteście młodzi.

— Ona, jego a nie mnie kocha.

— Otóż musi pokochać ciebie, rozumiesz, musi, bo szczęście jej od tego zależy. Anatol smutno potrząsał głową.

— Oh! ty u nie uwierzę nigdy, panie Lambardier — odpowiedział z gorzeją. — Widzę, żeś pan nie zrozumiał o co chodzi...

Anatol jeszcze nie skończył, gdy nagle twarz Lambardiera zajaśniała dziwnym blaskiem i szybko schylił się ku palenisku. Tam w popiele kominka leżał papier zgnieciony zesuszony przez gorąco ale niewytknięty płomieniem. Lambardier pehnięty niewytłomaczonym instynktem wyciągnął rękę po ten papier.

— Co pan robisz — rzekł Anatol zatrzymując go

— A więc skoro... pokaz tak mi pan go... przy-
jemnie mi będzie go poznać...
— Patrz pan...—odpowiedział wice-hrabia, wska-
zując przechodzącego o kilka kroków Lambardiera—
oto go masz.
Oko Brazyljczyka zamigotało blaskiem nagłym
i uparcie spojrzało na tym, którego mu wskazało. Ale
trwało to tylko chwilę; potem wrócił do zwykłej swej
obojętności.
— No,—rzekł Andréa,—coż mi pan powiesz o
nim?
Brazyljczyk usmiechnął się i wzruszył ramionami.
— Wy tu we Francyi,—rzekł tonem wesołym,
w którym jednak brzmiała ironia,—zawiele zajmujecie
się jedni drugimi. Przeszkadzaacie sobie wzajemnie i
wcale się nie lubicie.
— Powiedz pan raczej, że się szczerze nienawi-
dzimy, odpart wice-hrabia Andréa,
— Dlaczegoż to?
— Jakże pan chcesz byśmy się lubili, gdy nie
znamy się wcale. Czy wiesz pan jaką rolę odgrywa
w salonach ezotyków, o którym rozmawiamy, a któ-
rego bytność tutaj nader mnie zdziwiła...
— Nie wiem zupełnie.
— A więc to po prostu gospodarz domu
— Doprawdy? — rzekł Brazyljczyk, rzucając
okiem w stronę Lambardiera.
— Nie wiem daczego, wcale mu nie ufam.
— I ja także—rzekł Brazyljczyk sam do siebie.
Romowa na tem stanęła. Wice-hrabia przeszedł
do innego salonu, zmieszkał się z tłumem, a widząc na-
około zielone stoliki pokryte złotem, zaprzagnął raz je-
szcze spróbować szczęścia.
Już miał zająć miejsce przy jednym ze stolików,
gdy naraż czyjąś ręką wsparła się mocno o jego ra-
mie... Andréa zwrócił się nagle i spotkał się oko w oko
z Lambardierem.

— 159 —

Między widzami powstał ruch.
— Widocznie, masz pan dziś szczęście — rzekł
Lambardier, zbliżywszy się do wice-hrabiego.
Usłyszawszy ten głos, wice-hrabia zadrżał, spoj-
rzał, a gdy oczy jego spotkały wzrok Lambardiera, le-
dwie powstrzymał okrzyk zdziwienia.
— Pan tutaj!—zawołał cofając się.
— A dla czegoż nie miałbym tu być?—odpowie-
dział Lambardier z uśmiechem.
Wice-hrabia zbliżył się do niego.
— Ale jakimże sposobem?... wyszeptał.
— Jakim sposobem tu jestem? przecież i pan jest
tu także.
— Oh ja co innego! mnie sama Regina zaprosiła.
— Regina była tylko postuszną mojej woli. Je-
steś pan moim gościem, panie Andréa.
Wice-hrabia popatrzył na Lambardiera, jak by
się chciał przekonać, czy mówi prawdę.
— Bahl! zobaczysz pan jeszcze dziwniejsze rze-
czy, rzekł Lambardier... Ale przypraszam muszę po-
mówić z Regina... Jeszcze pana zobaczę... prawda?
Andréa oddalił się, mocno zaciekawiony, a nawet
cokolwiek niespokojny. Wszystko to wydało mu się
podejrzane; nie zapomniał tego, co mu brat mówił
o tym człowieku. Zaledwie przeszedł się parę razy
przez pokój, już Brazyljczyk był przy nim, biorąc go
uprzejmie pod rękę. Wice-hrabia nie opierał się.
— Czy dawno już jesteś pan w Paryżu?—zapytał
dosyć obojętnie.
— Zaledwie kilka miesięcy.
— Powiedz mi pan proszę, czy nie spotkałeś
w Paryżu kogoś, z imieniem Lambardier.
Brazyljczyk nadstawił ucha.
— Lambardier—powtórzył jakby przypominając
sobie—... ten Lambardier jest tutaj?
— Przed chwilą z nim wówiłem.

— 158 —

Wice-hrabia poczynał młodzieńca w róg pokoju.
Wtedy Anatol wyjął list z kieszeni i podał go wice-
hrabiemu, który szybko rozwarł go i czytał. Ale
zaledwo przerzucił pierwsze wyrazy, pot zimał; a
kropki wystrąpił mu na czoło, a twarz, z razu czer-
wona, zbladła.
Schwył za rękę Anatola i silnie ją uściśnął.
— Gdzie ona jest?—zapytał.
— Na ulicy de la Ververie u ojca.
— Biegnę, biegnę—rzekł wice-hrabia—jedźmy na-
tychmiast.
Potem zgniółszy gwarkownie list, rzucił go w ko-
min, gdzie palił się wielki ogień i oddalił się szybko.
Anatol widział go odchodzącego i stał jak przykuty
do ziemi. Był biedszy jeszcze niż wice-hrabia; gło-
boka boleść malowała się na jego twarzy. Miał iść
za nim, ale brakło mu odwagi. Wreszcie przemógł
się i już miał opuścić salon, gdy Lambardier, przy-
glądający się mu od chwili kilku, zatrzymał go nagle.
— No! mój młody panie...—rzekł don,—coż się
tam stało? zdajesz się bardzo wzburzony.
— Puc młody pan!—rzekł Anatol próbując przejść.
— Zaczekaj chwilę! warto przebież choć poznać
swych przyjaciół i odpowiedzieć tym, którzy cię py-
tają.
Młody ezotwyk podniósł głowę i krzyknął.
— No więc mnie poznajesz?—zapytał Lambardier.
— Pan tu, pan!—zawołał Anatol,—ach więc nie
wszystko stracone, gdy pan tu jesteś.
— Ależ, co się dzieje?
— Co się dzieje? chodź pan, chodź. Dowiesz się
wszystkiego. Chodź tu o pannę Renoult.
— O Paulinę?
— Oh gdybyś pan wiedział... gdybyś pan mógł
Lambardier wziął Anatola za rękę i poprowadził
wiedzieć...

— 162 —

go ku kominowi, gdzie przed chwilą Anatol rozma-
wiał z wice-hrabia.
— No rzekł poważnie, mów! chcę tego... słyszysz?
tego chce!
— Ależ ja nie wiem nic, panie Lambardier, zu-
pełnie nic; tyle tylko, że panna Paulina jest chora
i że...
Usiłował powiedzieć coś więcej, lecz nagle za-
milkł, jak gdyby mu język sparaliżowało.
— Oh! ty coś kryjesz przedemną — rzekł Lam-
bardier.
Anatol rzucił dokoła wejrzenie błędne.
— Tak—rzekł cicho,—ale tu jest zawiele osób.
— Nikt cię nie usłyszy.
— Nie, nie, chodź pan prędko; dowiesz się wszy-
stkiego.
Lambardier zmarszczył brwi; podejrzenie prawdy
mignęło mu w myśli.
— Słowo tylko,—rzekł z siłą — powiadasz, że
Paulina jest chora bardzo, czy tak?
— Oh tak! bardzo chora.
— A więc, jeśli to prawda, to pocóż ty tu jesteś?
Anatol się zawahał.
— Powtarzam,—rzekł Lambardier—po co ty tu
jesteś? Dlaczego nie jesteś w domu i nie pomagasz
ojcu Renoult w jej pielęgnowaniu. Wreszcie po co
wehodziś do takiego domu jak ten?
— Wszakże pan widziałeś, że z kimś rozma-
wiałem?
— Z wice-hrabia Andréa, prawda? Dla czegoż
uwiadomiłeś o tem wice-hrabiego? co jego obchodzi
choroba Pauliny. Co go łączy z rodziną Renoult?
odpowiedz ze mi, przecież widzisz—że cię pytam.
Anatol obtarł czoło i patrzył na Lambardiera
wzrokiem osłupiałym.

— 161 —